

Jan Zieliński: Sygnatura Stempowskiego. Wypisy niemieckie

Jerzy Stempowski jako jeden z nielicznych pisarzy o tak szerokim wachlarzu zainteresowań dotyczących świata zewnętrznego posiadał zarazem umiejętność wtapiania w swe teksty niewidocznej na pierwszy rzut oka sygnatury, która niczym znak wodny mniej lub bardziej bezpośrednio odsłania cienką kreską rysowane rysy do autoportretu – pisze Jan Zieliński w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Stempowski. Przechodzień wśród ruin”.

Jeden z najwybitniejszych, jeśli nie najwybitniejszy polski eseista dwudziestowieczny Jerzy Stempowski w sumie kilka lat spędził w Niemczech jako student, korespondent prasowy, uważny obserwator, niespieszny podróżnik. Jak mało kto umiał wniknąć nie tylko w zmieniające się stosunki polityczne i gospodarcze, ale też zaobserwować zmiany, dokonujące się w sferze kultury (znakomite uwagi o ewolucji niemieckiego ruchu wydawniczego) i w życiu. Zdumiewa skala jego kontaktów, po części tylko dająca się wytłumaczyć powiązaniem z ruchem wolnomularskim – Stempowski dociera do ludzi wpływowych ze sfer politycznych, finansowych i kulturalnych, ale umie także zaprzyjaźnić się z robotnikami o poglądach socjaldemokratycznych. Zadziwiająca jest łatwość, z jaką radzi sobie z granicami państw, stref demarkacyjnych, z jaką pokonuje rozmaite tabu. To, co pisze, jest prawie zawsze ciekawe, często zaskakujące i odkrywcze.

Magdalena Chabiera podjęła się trudu zebrania i opracowania tekstów Stempowskiego na tematy niemieckie. Są tu jego artykuły prasowe, publikowane często pod różnymi pseudonimami, są broszury, są dzienniki podróży po Niemczech i krajach sąsiednich, są dotyczące Niemiec fragmenty pisanego w Szwajcarii po francusku dziennika intymnego (*Zapiski dla zjawy*, przełożone i wydane przez niżej podpisanego), są wreszcie listy, zarówno publikowane już w tomach, jak i wydobyte przez autorkę opracowania z archiwów krajowych i emigracyjnych.

Jerzy Stempowski jako jeden z nielicznych pisarzy o tak szerokim wachlarzu zainteresowań dotyczących świata zewnętrznego posiadał zarazem umiejętność wtapiania w swe teksty niewidocznej na pierwszy rzut oka sygnatury, która niczym znak wodny mniej lub bardziej bezpośrednio odsłania cienką kreską rysowane rysy do autoportretu. Niby wciąż jest tu mowa o miejscach i ludziach, ale dzięki powrotom do tych samych miejsc w różnych okresach życia i dzięki darowi pamiętania dawniejszych spostrzeżeń, niekiedy, zdawałoby się, ulotnych i niepochwytanych, zagęszcza się siatka, utrwalająca świat w przemianach. Siatka, która zarazem chwyta ów delikatny, pełen pozornych sprzeczności, a jednak spójny portret własny.

Berlin, zima 1923/1924:

Od kilku tygodni rozglądam się na próżno na ulicach, aby znaleźć płaszcz równie stary zniszczony jak ten, który kupiłem był półtora roku temu w Galerie Lafayette. Żaden z przechodniów nie nosi takiej starożytności. Wszyscy mają

płaszcz, ubrania, kapelusze, buciki i rękawiczki zupełnie nowe, codziennie inne. Każdy berlińczyk posiada garderobę tak bogatą, że czeka bez trwogi nadejścia siedmiu lat posuchy przędzalniczej i szewskiej.

1935:

Przerazającą pustkę odpoczynku niedzielnego spostrzegłem po raz pierwszy jako młody student. Monachium, gdzie zrobiłem to spostrzeżenie, przeszło właśnie przez okres wielkiego „wyścigu pracy”. [...] W niedzielę niezliczone tłumy wychodziły poza mury miasta. W dolinie Izary, na przestrzeni długich kilometrów, jeden za drugim, biegły tzw. piwogródki. W cieniu kwitnących wiosną kasztanów ciągnęło się całe morze zielonych stolików, przy których, nad kuflem piwa, siedziało w dzień świąteczny kilkanaście tysięcy ludzi obojga płci. Wszystkie twarze wyrażały rodzaj skamieniałego cierpienia, dającego odległe pojęcie o wieczystej męce potępionych. Ludzie młodzi, zdrowi, pełni energii i przedsiębiorczości, siadali w cieniu kwitnących kasztanów, w oczach ich zjawiał się od razu – u wszystkich ten sam – wyraz skamieniałego bólu. To była nuda, nuda straszliwa, o której pewien renesansowy myśliciel mówił, że jest gorsza od śmierci. Byli to ludzie pracy, żyjący w rodzaju religii pracy, których wszystkie ambicje, cała przedsiębiorczość i wynalazczość związana była z ich pracą. Na dzień odpoczynku nie pozostawało im już nic prócz nudy, straszliwej i dławiącej, możliwej do zniesienia tylko dzięki zbawiennej bliskości poniedziałku.

Widok nudzących się tłumów był tak przygnębiający, że w tym czasie przyzwyczałem się spędzać niedzielę na pracy w domu.

12 grudnia 1940:

Quislingów znaleziono wszędzie (cisnęli się drzwiami i oknami) oprócz w Polsce, gdzie za czasów Swintuchosławskiego i Sławojczyka wszystko, zdawało się, było już do Quislinga przygotowane. „Tak-jak-Hit-ler, tak-jak-Hit-ler!” wołała młodzież „narodowa” przebiegając Wały Hetmańskie we Lwowie w 1938. W jesieni w Bielsku (29.X.38) sam widziałem bratających się narodowców polskich z Niemcami w białych pończochach, nazajutrz po wspólnie urządzonym pogromie.

Berno, 27 grudnia 1940:

Wszystko to niby dlatego, że dotąd w Polsce nie znaleziono żadnego Quislinga, mimo że ja sam znałem tylu i nie byle jakich kandydatów na to stanowisko. Fakt jednak pozostaje imponujący w swej samotności.

Salzburg, 20 listopada 1945:

W parku, obok hotelu Europa, stoi półkolem kilka ciemnych zburzonych domów. Gruzy sięgają miejscami pierwszego piętra. Wchodzę przez okno do jednego z tych domów. W świetle

latarki widzę tylko masy gruzu, najeżonego żelastwem. Wreszcie w trzecim domu, pod zwisającym płatem zwałonego piętra, znajduję całą salę wolną od gruzu, z zachowaną częściowo podłogą. Zatrzymuję się i słyszę przez okno szmer oblodzonej fontanny. Rozścielam śpiwór i rozbieram się jak w górach. Zamierzam właśnie zgasić latarkę, kiedy w oknie zjawia się młody człowiek ze skrzypcami w ręku.

— Szedłem za panem w nadziei, że mnie pan zaprowadzi do jakiego noclegu. Wygląda pan na doświadczonego włóczęgę. Widząc pana wchodzącego przez okno, czekałem na dole, licząc, że jeżeli pan nie wróci, pójdę pana śladem.

— Czy nie zechciałby pan coś zagrać dla urozmaicenia tego ponurego wieczoru?

— Raczej nie, obawiam się, że popełnilibyśmy nietakt, zwracając na siebie uwagę niepowołanych.

21 listopada 1945:

Przypomina mi się właściciel kawiarni, obok którego leżałem w budapeszteńskim szpitalu w 1940 roku. W nocy budził się obłany potem, siadał na łóżku i patrzył przed siebie:

— Każdej nocy budzi mnie wspomnienie pierwszego trupa, jakiego widziałem w sierpniu 1914. Leżał sam jeden na wznak z karabinem w ręku i miał tylko jedną ranę koło lewego kolana. Potem widziałem tysiące trupów, ale pamiętam tylko tego jednego. Trup ten zaciążył na całym moim życiu następnym. Porzuciłem studia i zostałem właścicielem kabaretu, potem zaś dużej kawiarni w nadziei, że pośród muzyki, gwaru i alkoholu łatwiej pozbędę się tego wspomnienia. Wszystko na próżno. We dnie jestem z usposobienia wesoły i czynny, ale każdej nocy „on” wraca do mnie tak samo regularnie, jak podczas pierwszych dni tamtej wojny.

Ile takich trupów widział każdy z dzisiejszych Niemców? Z takim wspomnieniem każdy jest sam.

Monachium, 21 listopada 1945:

Przed trzydziestu kilku laty pociąg przywiózł mnie z Wiednia wczesnym rankiem, w ciepły jesienny dzień. Jadąc do głównego ośrodka artystycznego Niemiec, ubrany byłem w czarną welwetową kurtkę i krawat Lavallière. W tym stroju szedłem powoli z dworca w kierunku Schwabingu, szukając po drodze pokoju do wynajęcia. W okolicy Königinplatz o kilka kroków przede mną zatrzymał się otwarty automobil, obwieszony girlandami róż. Wysiadł zeń człowiek lat trzydziestu, będący two-rem pośrednim między Alcybiadesem i Filipem Eulenburgiem, za nim zaś dwóch miękkich jak koty efebów. Wracali z całonoc-

nej hulanki, byli bladzi. Spojrzenia ich były zarazem euforyczne i skupione, jak przystało młodzieży, która podjęła zadanie ścigania w samochodzie nieuchwytnego snu o Grecji.

Muri, 13 grudnia 1945:

Odbyłem kilkutygodniową podróż po Austrii i Niemczech, do której przygotowania zajęły mi naprzód sporo czasu. Po powrocie musiałem 10 dni spędzić w milczeniu i izolacji, aby podnieść się ze stanu prostracji fizycznej i moralnej, w jakim z tej podróży wróciłem. Podróżuje się tam w 250 osób na wagon, stojąc całe noce w mroźnym wicherze, ponieważ szyb w oknach brak. Nocować nie ma gdzie, i temu sam Eisenhower zaradzić nie może. Sypiałem więc w ruinach, w parkach koło oblodzonej fontanny, w schronach wojennych, w oborach itd., dzięki posiadaniu śpiwora. Nie żałuję tego trudu, bo wiedziałem i słyszałem więcej niż się mogłem spodziewać. Widziałem falę nowych uchodźców z Polski i zony wpływów sowieckich, gdzie w październiku zaczęły toczyć się nowe walki między czerwoną armią i partyzantami.

25 czerwca 1946:

Druga rozmowa z Niemcami była bardziej niepokojąca. Pod koniec wojny we Francji w 1940 odwiedził mnie w Muri oficer Wielkiego Sztabu, pytając, czy za giejtem sztabu wróciłbym do W-wy. Armia, powiedział, musi teraz zlikwidować Hitlera i partię, i zadanie to wymaga udziału ludności okupowanej. Po

tym, co się stało w Polsce, armia nie ma tam żadnych kontaktów i chce mieć przewodnika dla ich ewentualnego nawiązania w przeddzień zbrojnej rozgrywki. Poczułem się wówczas jak papież, kiedy Dżyngis Chan wezwał go do Karakorum w celu omówienia sprawy nawrócenia Azji na chrześcijaństwo. Zza Pamiru wysunęła się straszna ręka do zgody. Papież nie odpowiedział nic. Ja odpowiedziałem tak, ale bez przekonania. Widząc szczelinę zarysowaną w stalowym kolosie myślałem, że powinienem coś w tę szczelinę włożyć, aby się nie zamknęła, a włożyć mogłem tylko swoją głowę. Wyszło jednak inaczej.

1949:

W gabinecie jednego z wielkich wydawców słyszałem następujące zdanie: „Wszyscy, którzy znaleźli jakieś, chociażby najskromniejsze, mieszkanie i najniezbędniejsze meble, mają teraz jedno życzenie: mieć znów te same książki, które utracili podczas pożaru”.

Monachium, 23 czerwca 1951:

Wczoraj wieczorem byłem w Prinzregententheater na wznowieniu Ariadne auf Naxos, którą po raz pierwszy słyszałem w Monachium w 1912 roku pod batutą Bruno Waltera. W tymże roku słyszałem po raz pierwszy także Elektrę, Salome i Rosenkavaliera, który już wówczas wydał mi się mniej ambitny od dwóch poprzednich oper Straussa. Opery te słyszałem wielokrotnie w latach późniejszych, zawsze z jednakowym

zainteresowaniem, jakkolwiek od 1912 ubyło mi trochę wrażliwości, przybyło natomiast wiele krytycyzmu. [...] Nie mniej od muzyki interesowali mnie jej słuchacze. Prinzregententheater liczy koło tysiąca krzeseł ustawionych na jednej pochyłej płaszczyźnie. Z każdego jej miejsca widać całą scenę, i akustyka sali jest doskonała. Teatr był niemal całkowicie wyprzedany. Publiczność uderzała swą różnorodnością. Było wśród niej trochę osób starszych, dawnych bywalców opery monachijskiej, większość składała się jednak z osób na pozór zupełnie nowych, mało obytych z sofistyką teatrów operowych. W ostatnich rzędach siedzieli uczniowie szkół muzycznych, którzy w końcu wieczoru zrobili wielką owację dyrygentowi.

19 lipca 1954 (o Monachium):

Z mostu koło Prinzregentendenkmal widać brzeg Izary z jego starymi drzewami i na lewo ciemnoczerwoną ruinę Maximilianeum. Ten brzeg rzeki i jego parkowo-ogrodnicza organizacja przypominają dekoracje oper Wagnera. Za każdym razem przyglądałem się im z zaciekawieniem. Nie widać na nim nic z wieków poprzednich, jak gdyby między czasami feudalnych myśliwych i Wagnerem nie było nic. Brzegi każdej rzeki, czy to będzie Sekwana, Rodan, Po, Arno, Ren, Mozela czy Wisła, mają jakieś swoje własne życie, chociażby ubogie i zaśmieczone, jakąś przeszłość. Brzeg Izary nie ma nic prócz wagnerowskiego Grössenwahnu, który zasłonił dekoracjami – prawda, monumentalnymi – wszystkie inne sprawy ludzkie. Żyjący w tych dekoracjach czuje się oderwany od ludzkich spraw, wolny od teoretyzowania. Szczęśliwy, jeżeli posiada umysł matematyczny. Ciekawy jestem, czy i na Panią widok z

tych dwóch mostów – z Prinzregenten i Maximilianbrücke – robi takie wrażenie... Kiedy pierwszy raz przyjechałem do Monachium w wieku 18 lat, moje pierwsze kroki zaprowadziły mnie do starej Pinakoteki, do której wracałem co dzień przez cały miesiąc, jak gdyby instynkt mówił mi, że to jest znacznie ciekawsze od reszty. Istotnie, kontrast między zawartością tego muzeum i miastem jest straszliwy. Nic nie uświadamia być może w równej mierze rozmiaru sprzeczności, z jakich składa się dzisiejsza schizofreniczna cywilizacja Europy...

Berno, 12 października 1954:

Ruhrę znam z dawniejszych czasów. Byłem tam w 1922-23, a także raz w parę lat później. Same jej realia są interesujące, które trzeba oglądać bez śniegu. Ostatni raz widziałem Ruhrę przelotnie – kilka godzin – w 1936, bardzo ponurą. Mój pociąg policja zatrzymała w polu pod Herne, aby aresztować jakiegoś nieszczęśliwego człowieka.

1959:

Niemal równie daleka wydaje się dziś Republika Weimarska, w której mężczyźni nosili długie do kostek, obcisłe płaszcze, porcja paskudnej kawy z dwoma miniaturowymi kawałkami cukru kosztowała dwa biliony, czyli dwa tysiące miliardów marek, a za sto dolarów można było kupić kamienicę. Trudno już sobie wyobrazić myśli, uczucia i odruchy ówczesnych Niemców.

Niedawno znajomi przysłali mi mój własny opis Berlina z 1923-1924. Czytałem go ze zdumieniem, nie poznając siebie w autorze tego tekstu.

Frankfurt, 1959:

Jako młody student byłem tam w czasach wilhelmińskich. Jeden z niemieckich kolegów pokazał mi wówczas stare miasto i zaprowadził do domu swej ciotki, wypełnionego gromadzonymi od pokoleń meblami. Stały tak gęsto, że miejscami pozostawała między nimi tylko wąska ścieżka. Idąc nią musiałem trzymać łokcie przy sobie, aby nie strącić porcelanowych faramuszek, ustawionych na szanownych antykach. Domów takich, pełnych pamiątek z różnych czasów, musiało być wiele w starej dzielnicy.

Gdy wróciłem tam późną jesienią 1945, miasto było wielką ruiną. W śródmieściu nie było na pozór ani jednego całego domu. Niewielki ruch widoczny był tylko przy Hauptwache, na skrzyżowaniu głównych arterii dawnego śródmieścia. Byli to przechodnie zdążający z jednego przedmieścia na drugie. Stara dzielnica, leżąca między Hauptwache i Menem, znikła zupełnie z oblicza ziemi. Na jej miejscu wznosiły się rude pagórki z startej na miazgę cegły, porastające tu i ówdzie zielenią chwastów. Przekopano przez nie wąskie przejście do pontonowego mostu, przez który wracałem każdego wieczora do odległej o kilka kilometrów osady podmiejskiej, gdzie znalazłem chwilowy przytułek. Gdy u wejścia do przekopu zapalałem latarkę, z mroku wyłaniało się kilka zawiniętych w łachmany po-

staci. Byli to ludzie czekający na jakiegoś posiadacza latarki, aby z nim razem przebrnąć przez nieoświetlony i najeżony szczątkami żelaznych rusztowań przesmyk.

Wiedeń, 1959:

Teatry, kawiarnie literackie, felietony i polemiki, całe malownicze i zajmujące życie ówczesnego Wiednia szło swoim trybem, niezmacone przecuciem nadchodzących wydarzeń. Jego pozorna beztroska odwracała uwagę od odbywającej się w tym mieście istotnej pracy myśli i wyobraźni. Dopiero za trzecim, dłuższym pobytem otrzymałem od młodego lekarza wiedeńskiego numer „Imago” i Traumdeutung Sigmunda Freuda. W latach tych mijałem być może na ulicach Wiednia nieznanymi jeszcze R. M. Rilkego i Franza Kafkę.

Frankfurt, 1962:

Waham się, czy powiedzieć, że w ciągu długiego życia w okresie wojen i rewolucji nikogo nie zabiłem. Normalnym zajęciem młodzieży moich czasów było ćwiczenie się w obchodzeniu z śmiertcionośną bronią. Kto akceptował los Europejczyka, musiał być gotów do odbierania życia, do zadawania śmierci. Mówiąc, że nie zabiłem nikogo, przyznaję się, że uchylałem się od jakiegokolwiek odpowiedzialności, szukałem łatwiejszej drogi. Trudno mi się tym chwalić, gdy myślę o losie tylu rówieśników, którzy,

*posłuszni prawom swojej polis, wyszli zadawać śmierć i zginęli.
Wspominając ich, mam wrażenie, że nikt ich już zapewne nie
pamięta.*

*Zakłopotanie, jakie odczuwam, mówiąc tu o sobie, przypomina
mi kapitana greckiego statku, na którym przed wielu laty
jechałem wzdłuż wschodniego wybrzeża Adriatyku. Odradzając
mi samotną wycieczkę w góry albańskie, stary marynarz
powiedział:*

*„Z takich wycieczek mało kto wraca. Góral albański, który
nikogo nie zabił, nie jest jeszcze dorosłym mężczyzną, i żadna
dziewczyna nie wyjdzie zań za mąż. Niech pan tylko pomyśli,
ilu chętnych do małżeństwa może pan spotkać po drodze”.*

Jerzy Stempowski, Niemcy. Tom I. 1923-1939. Tom II. 1940-1965.
Wybór, opracowanie i wstęp Magdalena Chabiera. Wydawnictwo
Naukowe UKSW, Warszawa 2018. Str. 290 i 528. W niniejszych wypisach
pominięto przypisy.

Fragmenty wybrał i komentarzem opatrzył Jan Zieliński